

Kronika

tygodniowa

Zważywszy, że zbliżają się kanikularne czasy, kiedy każdy szanujący się obywatel opuszcza mury miasta i wybiera się na łkanie świeżego powietrza, miał zamiar i kronikarz postąpić w ten sam sposób, niestety, zamiar spełnił na niczem. Szanujący się obywatel wyjechał z Krakowa, kronikarz zaś musi szanować swą kieszeń i dlatego został w Krakowie, a P. T. Czytelnik nie będzie też pozbawiony tej przyjemności, jaką miał co tydzień, mogąc się przekonać, jak kronikarz zapatruje się na sytuację.

Wyjazd na wakacje odłożono zatem po naradzie familijnej na czas późniejszy, gdy będzie taniej. Ceny spadają!... Tę radosną nowinę czytamy niemal codziennie w naszych piśmiskach, w których telegramy głoszą wyraźnie, że w Anglii potaniały już ryby, mydło i nieruchomości, że zatem ta fala taniości musi przyjść i do nas, o ile ją naturalnie przepuści przez granicę pan prezydent Grabski.

Niedawno zapowiadał *Kuryer*, że od strony Anglii zbliża się do nas fala nlew i powodzi. Przeraziło nas to nie na żarty, zwłaszcza, że to było w okresie imienia św. Medarda. Ta przepowiednia, Boga dzięki, dotąd się nie sprawdziła, obyśmy o tej drugiej fali, taniości, idącej do nas także od strony Anglii, nie musieli powiedzieć, że „niestety, także nie doszła!”... W Anglii zrobiono początek z mydłem, można więc żywić nadzieję, że wszystko pójdzie jak po mydle.

Jako człowiek wierzący, zwłaszcza drukowanemu słownu i stale się do niego stosujący, posłuszny wezwaniu piśm codziennych, by się wstrzymać z zakupami, nie też kronikarz nie kupuje, bo też i nie ma za co, jako, że to kończył się miesiąc, a wiadomo, że w każdym z nich pierwsze dwa lub trzy dni są jeszcze żośne, następne zaś stają się coraz mniej pożądane.

Niestety, ceny mimo to nie spadły, a nawet poszły w górę, jak to można było stwierdzić na takim choćby drobiazgu, jak zapaliki, bez których trudno się obejść. Do niedawna można było dostać pudełeczko za koronę, obecnie kosztuje dwie marki i pięćdziesiąt fenigów i jeszcze trzeba się bardzo prosić, aby sprzedano.

W ślad za zapalnikami ma pójść i monopol tytoniowy, który jest zdania, że jego towary, przy znanej swej dobroci są stanowczo za tanie. Ma też skorzystać ze sposobności i, zmieniając napływ koronowy na markowy, podniesie też i ceny, a razie tylko o sto procent i to w markach. Paczusia więc jawańskiego ziela (choć ono jest zupełnie czarne!), która dotąd kosztowała dziesięć koron, skoczy sobie pewnego poranku na dwadzieścia marek. Skoki są teraz w modzie. Należą one do lekkiej atletyki, a ta, z okazji przygotowań do zawodów olimpijskich, weszła na porządek dzienny. Gdyby chodziło o skoki cen, z pewnością otrzymalibyśmy w Antwerpij pierwszej nagrodę.

Czy jednak monopol tytoniowy wydłżeł dobre na tej nowej podwyżce, w to można wątpić. Prawda, że jest wielu ludzi i to tak rodzaju męskiego jak żeńskiego, którzy bez palenia się nie obejdą, ale i ci nie pójdą po tytoń do rządowej trafiki, lecz raczej zapatrzą się weń u pokątnych handlarzy, mogących sprzedawać przemycony tytoń i taniej i w lepszym gatunku. Jeżeli zatem monopol brał w rachubę nałóg, to też się przeliczył, co zresztą zdarza się aż nazbyt często naszym władzom centralnym, aż się proszącym, aby „*Duch św. zstąpił na nie i oświecił je*”.

Nie tak dawno, gdy rolnikom naszym potrzeba było ziemiaków do sadzenia, gdy miasta i centra fabryczne nie wiedziały co bez nich począć. Warszawa milczała stale, lub zastawiała się brakiem, wreszcie zaczęła czekać. I doczekaliśmy się!... Teraz, gdy się już bez nich obejdzie, zasypają poprostu Małopolskę ziemniakami, ale zgnilymi, bo miały na to dość czasu, czekając na decyzję warszawskich fachowców.

Co się tyczy artykułów spożywczych, to zdaje się, potaniania ich tak prędko się nie doczekamy, już choćby tylko z tej przyczyny, że od zakupu, ze względu na grożącą śmierć głodową, wstrzymać się nie można. Natomiast obiecują nam, że spadną ceny ubrań i obuwia. Podobno nawet łysi warszawscy obuwlowi spekulanci rwą sobie włosy z głowy na wiadomość, że z Anglii jedzie do Polski ogromny zapas butów. Anglia szyje nam buty na każdym kroku, nie też dziwnego, że i w tym kierunku przyszła nam z pomocą.

Pan prezydent Grabski, w rozmowie z jednym z przedstawicieli warszawskiej prasy oświadczył skromnie, że możemy się spodziewać, jeśli nie potaniania odzieży, to bodaj wstrzymania dalszych podwyżek...

Mila perspektywa, jeżeli się zważy, że nie tak dawno jeden z konsumów krakowskich ogłaszał, iż ma na sprzedaż *wcale porządne* ubranie marynarkowe w cenie po dwa tysiące pięćset marek za garnitur. Na taki zbytek może sobie pozwolić chyba szef sekcji, warszawski paskarz lub nienkwalifikowany robotnik z miesięczną płacą 8 570 Mkp.

Kronikarz mógłby się zdobyć co najwyżej na sprawienie sobie jednej nogawicy lub rękawa, ponieważ zaś tego rodzaju zaopatrywanie się w odzież „na raty” dotąd jeszcze nie weszło w modę, przyświeca narodowi wytartymi łokciami i kolanami, chwając sobie nadto ułatwioną wentylację, choć nie zawsze w tych miejscach, gdzie byłoby wskazaniem.

Jak zatem z powyższego wynika, na spadek cen będziemy musieli dingo czekać zatem i wyjazd kronikarza na wakacje, od tego uzależniony, ulegnie dalszej zwłoce i najprawdopodobniej odłożonym zostanie na rok przyszły, który, według zapowiedzi znawców, ma być jeszcze gorszy od bieżącego.

Zresztą i dokąd jechać i po co, skoro, kto jest amatorem świeżego powietrza, może sobie pojechać tramwajem na Sikornik i tam je łykać bez oglądania się na to czy dla innych wystarczy.

Zresztą dziś sama jazda kosztuje tyle co dawniej kilkumiesięczny pobyt w najdroższym uzdrowisku, pozatem niepewność sytuacji wstrzymuje niektórych z letników w mieście. Zakopane, Rabka, Szczawnica, Krynica i t. d. rozsiadły się wzdłuż granicy węglerskiej, skąd dziś niezbyt przyjemnym okiem spogląda na nas brat Czech, uważający Galicję za czeską aż po San. Musi im się przynajmniej raczyć, jeśli się zważy, że dokumenty historyczne wyraźnie stwierdzają długoletni pobyt w tych okolicach pp. Pospiszilów, Wykułaków, Prochasków i innych. Na tej podstawie roszczą sobie pretensje i do kopalni w Wieliczce, gdzie ongiś był dyrektorem jakiś Precliczek.

Czesi zatem podziałali wstrzymując na naszych kuracuszów i wyleczkowiczów. bo to w każdym razie mniejsza przyjemność, jeśli napadnie bojówka czeska w chwili, gdy się siedzi w kąpielu borowinowej.

Obaczone do osłabienia wyjazdu na letnie wywczaszy przyczyniła się jeszcze i jedno. Niedoszły premier pan Wincenty Witos, ogłosił do braci chłopów list pasterski, w którym narzeka na krzywdy, jakie mu surdutowcy wyrządzili i wzywa, aby ujęto się za nim.

Dotąd wiele osób, nie mogąc sobie pozwolić na pobyt w drogiem Zakopanem i chcąc mieć więcej swobody, wybierało się na wies między nasz pocziwy ludek wieśniaczy.

Ale ten ludek, w miarę jak wojna zrobiła z nas dziadów, a z niego milionerów i skazała nas na jego łaskę i niełaskę, zaczął się coraz krzywiej patrzeć na miejskich „clarachów”, przyjeżdżających tutaj, aby mu zatruwać atmosferę i ebiadać go. Co znaczy w oczach takiego pana Paskudy, kandydata na ministra, lub pani Pomietliny o złotych zębach i szumiącej jedwabiami a myjącej się mydłem po sześćdziesiąt marek sztuka, jakiś tam miejski głodomór, nie mający co w gębę wsadzić, ani w co się odziać. Dotąd mieli go za psie poszycie, teraz, po liście Witosza, nie będą go mieć nawet i za to. A jechać na wies po to, aby sobie tam krew psuć i narazić się na śmierć głodową, to się chyba nie oplaci.

Mamy wprowadzić własne morze, ale tylko na papierze. Lloyd George zagarnął już Bałtyk dawno dla Anglii, a tylko dla zamydlenia oczu ma zamiar urządzić plebiscyt śledzi, aby się oświadczyły do kogo chcą należeć. Na razie zatem i kąpanie się w morzu połączone jest z trudnościami, pomijając już okoliczność, że sama jazda tam kosztuje tysiące. Kogo jednak stać na morze, ten może sobie pozwolić i na kosztowną jazdę.

W każdym razie wiele osób bodaj na te dwa miesiące opuścił Kraków, powietrze rozrzedziło się też i u nas. Dla zwykłego śmiertelnika, który chciałby używać i kąpieł i świeżego powietrza, oraz stykać się bezpośrednio z ladem, wskazanym byłby następujący porządek dzienny: Rano wyleczka na Rynek krakowski, między ludek, sprzedający na wagę złota produkty swego gospodarstwa. Popołudniu kąpiel we Wiśle lub Rudawie, następnie zaś, o ile się kto nie utopił (bo i to się zdarza...), wyjście na Sikornik i wdychanie świeżego powietrza. Tego rodzaju podział dnia wakacyjnego ma to jeszcze do siebie, że nie nie kosztuje, a to kwestya dla wielu bardzo ważna. Zresztą, jeśli mamy prawdę powiedzieć, to powietrze na wsi nie tak znów bardzo różni się od krakowskiego, a ma się tam żyć w ciągłej irytacji i niepewności, co nikomu nie może wyjść na zdrowie, to nawet lepiej, jeśli się zostanie w Krakowie, który i w letniej porze ma swe przyjemności, jak to może stwierdzić pierwszy lepszy z byłych ślomianych wdowców.

Kronikarz, dla którego nie wystarcza szarzyzna codziennego życia, wybrałby się bardzo chętnie na przykład na wyleczkę na księżyc lub Marsa, jak to

było w projekcie. Niestety, skończyło się na projekcie, gdyż kwestya powrotu przedstawiała pewne trudności.

Później zrodził się nowy projekt, również *Kuryer* donosił nam o nim. Angielski uczonec, chcąc uwolnić świat od misyry węglowej i uczynić zbędnymi wszelkie Centrale i Inspektoraty węglowe, zaproponował pobieranie ciepła z ziemi, do czego wystarczyłby zupełnie dziura, głębokości piętnastu kilometrów.

Taką dziurę warto zwiedzić, trzeba to jednak odłożyć na później, gdyż dotąd nie zaczęto jeszcze kopać. Przy tej sposobności warto byłoby się nad tem zastanowić, czy nie opłacałoby się przewiercić ją na wylot, co ułatwiłoby nam komunikację z drugą półkulą (a jeżeli się z tamtej strony trafi na morze?... *przyp. secera*). Przez tę dziurę możnaby przeciągnąć sznur, a potem uwiesić ziemię u jakiegoś stałego punktu, dajmy na to, u rogu księżycy... W ten sposób uchroniliby się ziemię od trzęsień, zderzeń niepotrzebnych z innymi niebieskimi ciałami i t. d.

Za podobny projekt powinno Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznać kronikarzowi jakąś większą nagrodę, aby go w ten sposób zachęcić do obmyślenia dalszej serii podobnych problemów, mogących mieć dla świata wprost nieobliczalne następstwa.

Skoro się więc nie można z powodu utrudnień komunikacyjnych wybrać ani na księżyc, ani w kierunku wprost przeciwnym, to jest do głębin ziemskich, zostaniemy zatem tam, gdzie nas Opatrzność rzuciła, zwłaszcza, że trzeba pomyśleć o uregulowaniu swych stosunków domowych, gdyż nie jest wykluczone, że koniec świata już w zanadrzu! Wskazywałyby na to narodziny dyabła w krakowskiej klinice. Urodzić się miał z żydówki, zatem ścisłe według oświadczeń dawnych uczonych, potwierdzonych z urzędu przez magistralnego proroka.

Jeśli ma to być w samej rzeczy ów dyabeł, który z ognistym wozem będzie objeżdżał świat, to wyobrażam sobie jego minę gdy się zgłosi w Inspektoracie węglowym z prośbą o przydział opału, a tam mu powiedzą, że podanie trzeba wnieść kilka miesięcy naprzód, a na załatwienie czekać znów kilka miesięcy. A gdy mu już przydzielą, to mu magistrat zarekwiruje przydział, jako że od rekwizycji wolne są tylko przydziały protgowanych. Gdy się nadto dyabeł dowie, ile mu za węgle przyjdzie zapłacić, czmychając, nieczem jego kolega od pani Twardowskiej... Że zaś koniec świata bez dyabła z ognistym wozem obejść się nie może, skorzystamy z tego tyle, iż koniec świata, z powodu nieprzewidzianych przeszkód, odłożony zostaje aż do czasu poprawienia się stosunków opałowych.

Z tego znów dowód, że tak Inspektorat węglowy, jak magistrat, mogą się też i na coś przydać.

Jak tu zresztą wierzyć w koniec świata, choćby się nawet dyabeł narodził, otrzymał przydział węgla, a magistrat mu ich nie zarekwizował, skoro przedtem miały być uregulowane stosunki na świecie, a na to się bynajmniej nie zanosz. Obradowano w ostatnich czasach w San Remo, Boulogne, Londynie i Paryżu, teraz przyszła kolej na Brukselę i Spaa, a o porządku światowym ani słyszeć!... Główny kucharz, który narzążył nam tego politycznego błęsu, zaledwie wrócił do zdrowia, ma głowę czem innem zajętą, to jest smażeniem kiełbasy wyborczej, jako że wybory prezydenta Stanów Zjednoczonych przypadają na jesień, a liczba wyborców jest bardzo znaczna i ladaczem załatwić ich nie można!

Co tam aradzano w Spaa, o tem kronikarz dowiedział się z gazet. Sam nie był na miejscu, gdyż zapomniano go zaprosić. Niewiele brakowało, a byłoby to samo spotkanie i Polskę, choć tam miano radzić o niej. Na czas przecież błąd naprawiono i zaproszono do układu oficjalnego polską delegację. Pojechał pan Patek, zatem bez konkursu już się obejdzie.

Czy zresztą warto byłoby narażać się na trudy podróży, aby nad wielu różnemi sprawami radzić zaledwie przez jeden dzień i aby w rezultacie nikt sobie nie z ich uchwał nie robił. Niemcy pokazali już jak się zapatrują na kwestyę rozbrojenia, teraz powtórzą to samo z okazji odszkodowania wojennego. Lloyd George ma głowę zabita handlem i zbliżaniem się bolszewików do Indyi, nie myśli zatem zbyt Niemcom następować na pięty; zwłaszcza, że doszedł już do przekonania, że nie zagrażają interesom handlowym angielskim, jak to przed wojną sądzono.

Zresztą w Europie się tylko zaczęło, dalszy ciąg może być w Azji lub gdzieś indziej, a na to się zanosz. Turcy traktatu pokojowego podpisać nie chcą, i chwycili obecnie za broń, a to ich wystąpienie może być bardzo łatwo powodem wybuchu w Azji, co bynajmniej nie leży w interesie Anglii. Lloyd George nie może też spać spokojnie (choć w łóżku płaskiew nie ma...) i wie co robi kokietując stale Krasina.

Ogólny chaos i zamieszanie, oraz narodziny dyabła, to zupełnie pewne znaki zbliżającego się końca świata, o czem zresztą pomówię później.